

MICHAEL SWANWICK

zimowa opowieść

Być może nie powinienem ci opowiadać o tamtej Wigilii. To zdarzyło się w Kamiennym Domu, gdy jeszcze byłem dzieckiem, bardzo dawno temu. Odkąd zaraziłem się gorączką mózgową, pamięć nie służy mi już zbyt dobrze. Wkrótce odzyskam siły i będzie można mnie przenieść z tej planety do układu jakiejś zapomnianej gwiazdy, odległej o wiele lat świetlnych od olśniewającego księżyca, który wschodzi nad stodołą twojego ojca. Gorączka wypaliła z mojego mózgu bardzo wiele! Być może nic z tego nie wydarzyło się naprawdę. Usiądź mi na kolanach, a opowiem ci wszystko. Kolana jeszcze żadnej kobiecie nie zepsuły reputacji. Śmiejesz się, ale to prawda. Gdybyż tylko to było takie łatwe!

Potworność wojny, tak jak praktykuje się ją w dzisiejszych czasach, polega na tym, że jej celem jest nie tyle zdobycie terytorium, ile wyczerpanie sił przeciwnika. Z tego powodu zawsze korzystniej jest okaleczać niż zabijać. Zwłoki można wsadzić do worka, spalić i zapomnieć o nich, natomiast ranni wymagają specjalistycznej opieki. Zbiorniki regeneracyjne, sztuczna skóra, personel medyczny, długa rekonwalescencja na farmie rodziców. Dlatego wciąż zmienia się rodzaje broni, atakuje nieprzyjaciela przestarzałymi kamiennymi toporami, toksynami albo promieniowaniem. To zmusza dowództwo do gromadzenia odpowiednich środków profilaktycznych i wyspecjalizowanych lekarstw oraz do uczenia ludzi zapomnianych umiejętności. Gaz musztardowy świetnie się nadaje do tego celu. Podobnie jak gorączka mózgową.

Spędziłem w szpitalu długie, wypełnione bólem miesiące. Czasami nawiedzały mnie halucynacje. Śnił mi się lód. Kiedy się ocknąłem, byłem bardzo słaby i właściwie nie wierzyłem, że żyję. Całe fragmenty mojego życia zniknęły, wypalone z pamięci. Pamiętam, jak stałem na szczycie przęsła żelaznego mostu przerzuconego przez Izveltayę i ze śmiechem ciskałem swoje książki do rzeki, jedną po drugiej, a mój najlepszy przyjaciel, Fennwolf, próbował mnie namówić do zejścia na dół.

- Wstąpię do milicji! Zostanę żołnierzem! - darłem się histerycznie.

Dotrzymałem słowa. Przypominam sobie tę groteskową chwilę z pełną wyrazistością, ale nie mam pojęcia, co do niej doprowadziło. Nie pamiętam też imienia drugiej siostry, choć widzę jej twarz przed oczyma równie wyraźnie jak twoją. W mojej pamięci są luki.

Owa Wigilia jest jednak wyspą stabilności w moich zaburzonych wspomnieniach, równie niezachwiana jak sam Kamienny Dom, neolityczna jaskinia, w której wiedliśmy egzystencję tak prymitywną, że nigdy nie byłem do końca pewien, w jakiej epoce historycznej żyjemy. Czasami mężczyźni wracali z polowania w towarzystwie paru zadowolonych larli o sennym spojrzeniu i gdy opierali o ścianę okrwawione włócznie, mogło się wydawać, że mieszkamy na samej Starej Ziemi. W innych chwilach, tak jak wtedy, gdy przynosili projektory, by wypełnić salon barwnymi światłami, iskierkami lśniącoymi na konarach świątecznego drzewka i chłodnymi, nieszkodliwymi światłami, które tańczyły pośród prezentów, odnosiliśmy wrażenie, że znaleźliśmy się w znacznie późniejszej erze, w jakiejś prowincji mitologicznej przyszłości. W domu było pełno ludzi. O tej porze roku spotykało się pięć rodzin i dalej mieszkający krewni, a nawet zatrzymywało się tu kilku obcych, musieliśmy więc rozkładać posłania w

pokojach, które przez resztę zimy były zamknięte, przenosić meble do graciarni na strychu, a i tak trzeba było rozstawiać składane łóżka w ślepych korytarzach. Kobiety przemykały przez korytarze, rozmieszczając pospiesznie wujków. Jednego sadzały w fotelu, poprawiwszy go uprzednio niczym poduszkę, a następnego opierały o stół, podkręciwszy mu dla efektu węża. To były miłe chwile.

Wracając z wizyty w kuchni, z której przegnała mnie nieznana mi masywna kobieta o pokrytych wielkimi piegami rękach, posypanych mąką aż po łokcie, zaskoczyłem Suki i Georga, którzy całowali się w kącie za wielkim kominkiem. Ściskali się mocno i zatrzymałem się, żeby popatrzeć. Suki się uśmiechała, a jej puciołowate policzki były zarumienione. Odrzuciła jedną ręką włosy, żeby Georg mógł się wtulić w jej ucho. W tej samej chwili odwróciła się lekko i zobaczyła mnie. Wciągnęła głośno powietrze i oboje odskoczyli od siebie, czerwoni i zaskoczeni.

Georg miał naburmuszoną minę, Suki dała mi ciastko. Było ciemne od melasy, a na wierzchu miało tylko jeden, skryształizowany rodzynek. Potem odepchnęła mnie na bok. Usłyszałem jej śmiech, gdy wzięła chłopaka za rękę, żeby go zaprowadzić w jakiś mroczniejszy zakamarek domu.

Przyszedł ojciec w zabłoconych buciorach i powiesił w gablocie myśliwskiej parę upolowanych ptaków. Następnie ustawił na miejscu łuk ze zdjętą cięciwą oraz kołczan pełen strzał, po czym oparł się łokciem o gablotę, czekając na podziw obecnych oraz gorący napój od matki. Obok przeszedł larl, cichy, masywny i wyraźnie zadowolony z siebie. Gdy zniknął za rogiem, ruszyłem za nim. Ożyła we mnie pradawna ambicja, by dosiąść bestii. Wyobrażałem sobie, jak przejeżdżam triumfalnie przed kuzynami, siedząc okrakiem na czarnym drapieżcy.

- Flip! - zawołał stanowczym tonem ojciec. - Daj spokój Samsonowi! Jest odważnym, szlachetnym stworzeniem i nie pozwolę, żebyś mu dokuczał. Ojciec miał chyba oczy z tyłu głowy.

Nim zdążyłem wpaść w złość, obok przebiegli kuzyni, którzy wybierali się wieszać chochoły na drzewach przed domem. Porwali mnie ze sobą. Wujek Chittagong, który wyglądał jak jaszczurka i z powodów medycznych musiał przebywać w szklanym zbiorniku, mrugnął do mnie, kiedy przemknąłem obok. Kącikiem oka zobaczyłem przy nim moją drugą siostrę, rysującą się na tle błękitnego ognia.

Wybacz. Zostało mi tak niewiele wspomnień z dzieciństwa. Znaczne fragmenty pochłonęły pola niebieskiego lodu, na które wszedłem w czasie choroby. Moja przeszłość jest jak zatopiony kontynent. Nad powierzchnię wystają tylko szczyty gór, archipelag rozproszonych wydarzeń, z których próbuję odtworzyć kształt tego, co utraciłem. Ocalone szczegóły są mi wyjątkowo drogie i muszę od czasu do czasu przesuwając nad nimi dłonie, by się upewnić, że coś pozostało.

Na czym to stanąłem? Ach, tak. Byłem w północnej dzwonnicy, która w tych czasach służyła mi jako kryjówka. Schowałem się za Starym Ślepym Pew, który miał najniższy ton z naszych trzech dzwonów. Płakałem, ponieważ uznano, że jestem za mały, żeby zapalić jedną z pochodni.

- Hej! - odezwał się jakiś głos. - Tutaj, głuptasie! - dodał po chwili.

Podbiegłem do okna, ze zdziwienia zapominając o łzach na widok brata Karla, którego sylwetka rysowała się ostro na tle żółknącego nieba.

Rozłożył szeroko ramiona i szedł po szczycie dachu niczym linoskoczek.

- Oberwie ci się za to! - zawołałem.

- Nie, jeśli nic nikomu nie powiesz!

Świetnie wiedział, że go uwielbiam.

- Złaź stamtąd! Opróżniłem jedną z górnych szafek w kuchni. Możemy się tam wczłogać ze spiżarni. Pod drzwiczkami jest szpara. Będziemy wszystko widzieli!

Karl odwrócił się i pomylił krok. Ześliznął się z dachu nogami naprzód.

Wrzasnąłem głośno. Mój brat złapał za rynnę i wskoczył prosto w otwarte okno. Jego twarz o ostrych rysach zmaterializowała się w półmroku.

Uśmiechał się szeroko.

- Ścigajmy się do nefrytowego ibisa!

Zniknął. Pognałem za nim jak szalenciec po krętych schodach, pragnąc pierwszy dobiec do celu.

To nie była moja wina, że nas złapali. Na pewno bym nie zachichotał, gdyby Karl nie łaskotał mnie, żeby sprawdzić, jak długo wytrzymam. Ja się bałem, ale on nie. Gdy trzy bardzo rozgniewane babcie wyciągały go siłą z szafki, odrzucił głowę do tyłu i śmiał się tak długo, że aż się rozplakał. Własne łobuzerstwo cieszyło go bardziej niż wszystko, co mógłby zobaczyć.

Mnie odprowadziła na bok pobłażliwa Katrina, która ze szczegółami opisała mi różgi, jakich nie uniknę, a potem zdołała jakoś mnie zgubić w ścisku panującym w salonie. Schowałem się za gobelinem z kozą, ale szybko poczułem się znudzony. Potem uderzono w Chubkina, Kosmonautę oraz Pew, i pokój się opróżnił.

Poszedłem za wszystkimi. Poruszałem się między ich nogami, nie przyciągając niczyjej uwagi, jak bagienny ptak przemykający przez wysoką trawę. Wsluchani w dźwięczny głos dzwonów, wdrapaliśmy się na najwyższy balkon, by obejrzeć zimowy taniec. Przełożyłem dłonie przez rozsypującą się balustradę i wspiałem się na palce, żeby widzieć z góry wychodzącą z domu procesję. Przez długi czas nic się nie działo. Pamiętam, że drażniło mnie, jak obojętnie traktują dorośli tę uroczystość. Wszyscy stali z drinkami w dłoniach i dziewięciu na dziesięciu patrzyło na siebie nawzajem. Pheidre i Valerian (młodsze dzieci już przed godziną położono spać, nie zważając na ich protesty) zaczęli bawić się w berka, biegając w tłumie dorosłych, aż wreszcie skrzyzczano ich i uspokojono potrząśaniem za ramiona.

Drzwi na dole wreszcie się otworzyły. Kobiety, które były czarownicami, wyszły dostojnie na dwór. Miały na sobie frotowe szlafroki z kapturami, jakby dopiero co opuściły łazienkę. Ich głębokie milczenie napełniło mnie strachem. Zupełnie jakby do różowych, rozchichotanych kobiet, które przygotowywały się w kuchni, sięgnęło coś zimnego, co odebrało im ciepło czy może śmiech.

- Katrina! - krzyknąłem w panice.

Uniosła ku mnie twarz zimną jak księżyc. Kilku mężczyzn parsknęło śmiechem. Z osłoniętych brodami ust buchała biała para. Jeden z nich rozczochrał mi włosy kostkami dłoni. Druga siostra odciągnęła mnie od balustrady i wysyczała, że nie wolno krzyczeć do czarownic, że to ważne, że zrozumieć, jak będę większy, i że jak nie będę grzeczny, to dostanę lanie. Chcąc złagodzić te słowa, podsunęła mi kryształek cukru, ale odwróciłem się od niej, ponury i naburmuszony.

Kobiety ruszyły gęsiego na skalisty obszar położony na wschód od domu.

Wiatr wiejący od morza oczyścił tam łupek ze śniegu. Zatrzymały się - to było tak daleko, że nie można było rozróżnić ich twarzy - i zdjęły szlafroki. Przez chwilę stały nieruchomo w kręgu, spoglądając na siebie nawzajem. Potem zaczęły tańczyć. Żadna z nich nie miała na sobie nic poza

czerwoną wstążką owiazaną wysoko na udzie. Wstążki były długie i ich wolne końce łopotały na wietrze.

Tańczyły w kole, a wszyscy przyglądali się im w skupieniu. Od czasu do czasu dały się słyszeć stłumione śmiechy, gdy któryś z młodszych mężczyzn wygłosił pikantny komentarz, lecz większość zebranych patrzyła na nie z szacunkiem, a nawet lękiem. Wiał wiatr, a po ciemnym niebie mknęły małe obłoki, przypominające barany o fioletowych głowach. Na dachu było zimno. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób kobiety to wytrzymują. Tańczyły coraz szybciej, a widzowie cichli i wciąż przepychali się naprzód, aż w końcu zmusili mnie do odstąpienia od poręczy. Zmarznięty i znudzony, zszedłem na dół. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wróciłem do salonu, gdzie na kominku tlił się jeszcze ogień.

Kiedy wychodziłem, było tu strasznie duszno, teraz jednak zrobiło się chłodniej. Położyłem się na brzuchu przed kominkiem. Kamienne płyty, którymi go wyłożono, pachniały popiołem, a kiedy przesuwałem po nich palcami, kreśląc machinalnie małe kręgi, przylepiały się do nich ciemne drobiny. Na brzegu płyty były zimne, ale dalej stawały się coraz cieplejsze i w pewnej chwili musiałem gwałtownie cofnąć rękę, żeby się nie oparzyć. Tył kominka był czarny od sadzy. Obserwowałem ogienki, które pełzały po wyrzeźbionych tam sercu i dłoniach, gdy kolejna drzazga rozjarzała się nagle, by po chwili się dopalić. Kłoda była już całkowicie zwęglona i miała się jeszcze palić długimi godzinami.

Nagle usłyszałem kaszlnięcie.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że coś porusza się w mroku. Zwierzę. Larl był czarniejszy niż czerń. Wyglądał jak dziura w ciemności. Nie mogłem skupić na nim spojrzenia. Powoli, leniwie, wszedł na kamienne płyty, przeciągnął się, ziewnął, podwijając język, wbił we mnie spojrzenie wielkich zielonych ślepiów.

I przemówił.

Rzecz jasna, byłem zdumiony, ale nie aż tak bardzo, jak zdziwiłby się na moim miejscu ojciec. Dla dziecka świat jest pełen tajemnic!

- Wesołych świąt, Flip - powiedział cichym, sapiącym głosem. Nie potrafię opisać jego akcentu. Nigdy, przedtem ani potem, nie słyszałem nic podobnego. W jego oczach lśniła bezbrzeżna, obca wesołość.

- Nawzajem - odparłem uprzejmie.

Larl usiadł, otaczając mnie swym ciężkim ciałem. Gdybym chciał uciec, nie miałbym żadnych szans, choć wówczas nie przyszło mi to do głowy.

- Jest taka starożytna legenda, Flip. Nie wiem, czy kiedyś o niej słyszałeś. Zapewnia ona, że w Wigilię Bożego Narodzenia zwierzęta mówią ludzkim głosem. Czy starsi ci o tym wspominali?

Potrząsnąłem głową.

- Zaniedbują cię. - Jego głos przepajała niezwykła ironia. - W niektórych starych legendach tkwi ziarenko prawdy. Trzeba tylko wiedzieć, jak je wydobyć. Ale może nie we wszystkich. Część z nich to zwykłe bajki. Być może to nie dzieje się naprawdę i wcale do ciebie nie mówię?

Potrząsnąłem głową. Nie rozumiałem go i powiedziałem to głośno.

- Między twoim a moim rodzajem istnieje pewna różnica. My znamy was doskonale, a wy nie wiecie o nas prawie nic. Chciałbym ci coś opowiedzieć, malutki. Wysłuchasz mnie?

- Tak.

Byłem jeszcze małym chłopcem i lubiłem opowieści.

Zaczął:

Kiedy wylądowały wielkie statki...

O Boże. Kiedy... Nie, nie, nie, chwileczkę. Przepraszam. Jestem wstrząśnięty. Właśnie miałem wizję. Wydawało mi się, że jest noc i stoję u bram cmentarza. I nagle przestrzeń wokół mnie wypełniło światło.

Płaszczyzny i stożki blasku, które wylaniały się spod ziemi i czały, swiergocząc, w konarach drzew. Rozbijały niebo na kawałki. Chciałem zatańczyć z radości, ale ziemia osunęła mi się pod nogami i kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem, że palców moich stóp dotknął cień bramy, zimny prostokąt najgłębszej czerni, głęboki jak cała wieczność. Zakręciło mi się w głowie, zachwiałem się na nogach i...

Dość tego! Ta wizja nawiedzała mnie już wielokrotnie. Na pewno bierze się z czegoś, co w młodości wywarło na mnie przemożne wrażenie. Może była to woń świeżo rozkopanej ziemi, bielony wapnem płot. Na pewno. Nie wierzę w hobgoblina, duchy ani preczucia. Nie, nie wolno mi o tym myśleć. To głupstwa! Wracajmy do mojej opowieści.

Kiedy wylądowały wielkie statki, pożerałem właśnie mózg dziadka. Wszyscy potomkowie otoczyli go z szacunkiem i pierwszy kęs przypadł mnie, jako najmłodszemu. Wypełniła mnie jego mądrość i mądrość jego przodków, głęboka wiedza o zwierzętach, które były dlań pożywieniem, oraz duch dzielnych wrogów, których zabił, a potem uhonorował przez pożarcie, jakby należeli do jego rodziny. Pewnie tego nie rozumiesz, malutki?

Przytaknąłem.

Rzecz w tym, że Lud nigdy nie umiera. Tylko ludzie znają śmierć. Czasami traci się niewielką część jakiejś Osoby, pamięć kilku dziesięcioleci, ale zasadnicza część wspomnień zawsze jest zachowana, jak nie w tym ciele, to w innym. Albo zdarza się, że Osoba okryje się hańbą i potomkowie nie chcą jej pożreć. To wielki wstyd i taka Osoba odchodzi gdzieś na ubocze, by umrzeć w samotności.

Statki świeciły z jasnością nowo narodzonych słońc. Lud nigdy nie widział czegoś takiego. Patrzyliśmy z niewysłowionym zachwytem, bo nie znaliśmy jeszcze wówczas języka. Widziałeś to na obrazkach, barokowe wiry kolorowego metalu, ludzie wysiadający dumnie na ziemię. Ja jednak przy tym byłem i mogę ci powiedzieć, że twoi przodkowie byli chorzy. Złazili ciężko z trapów i bił od nich smród choroby popromiennej. Moglibyśmy wtedy pozabijać wszystkich.

Zbudowali wioskę, nazwali ją Lądowaniem i na ciałach swych zmarłych zasiali zboże. Zostawiliśmy ich w spokoju. Nie sprawiali wrażenia dobrej zwierzyny. Byli za powolni i zanadto dziwni. Nie przyzwyczailiśmy się też jeszcze wtedy do waszego zapachu. Dlatego odeszliśmy zdziwieni, nic nie rozumiejąc. Była wczesna wiosna.

Gdy nadszedł środek zimy, połowa przybyszów już nie żyła. Część zabiła choroba, ale większość umarła z braku pożywienia. Nic nas to nie obchodziło, aż do chwili, gdy kobieta z głuszy na zawsze zmieniła nasz wszechświat.

Kiedy będziesz większy, opowiedzą ci o niej. Dowiesz się, dlaczego desperacja kazała jej odejść tak daleko od ziomków. Ta opowieść jest częścią waszej historii. To jednak były góry, nadeszła pora mrozów i bardzo już wychudłem. Kiedy ujrzałem ją, jak brnęła przez śnieg owinięta w futra, była dla mnie wizją samej królowej zimy. Darem mięsa w czasie głodu, krwią na cześć zimowego przesilenia.

Po raz pierwszy zobaczyłem ją, gdy pożerałem jej towarzysza. Wyszedł wieczorem z chaty, jak zawsze o zachodzie słońca. Trzymał w dłoniach

strzelbę, ale nie podnosił wzroku. Obserwowałem go już od pięciu dni i jego zachowanie nigdy się nie zmieniało. Szóstego wieczoru przycupnąłem na dachu, pozwoliłem, żeby oddalił się kilka kroków od drzwi, a potem skoczyłem. Poczułem, że kark mu się złamał, rozszarpałem gardło, żeby mieć pewność i przegryzłem się przez parkę, chcąc poczuć smak wnętrzości. Nie było w tym nic trudnego, ale zimą polujemy czasem na zwierzynę, której mózgow za nic byśmy nie zjedli.

Gdy kobieta wyszła z chaty, paszczę miałem pełną mięsa, a pysk pokrywała mi ciepła, przyjemna wilgoć. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że wjeżdża na szczyt wzgórza na jednej z tych waszych niezrozumiałych maszyn. Teraz wiem, że to był śniegołaz. Zachodzące słońce wyrzało zza chmur za jej plecami i przez chwilę otaczała ją aureola. Kobieta rzucała przed siebie wąski cień, który dotknął mnie, tworząc między nami most ciemności.

Popatrzyliśmy sobie w oczy...

Magda wjechała na szczyt z nieustępliwą, pozbawioną cienia radości satysfakcją. Jestem teraz łowczynią, pomyślała. Zawsze chętnie nas widzą w Ładowaniu, bo przynosimy im mięso, ale nigdy już nie powiedzą mi uprzejmego słowa. I bardzo dobrze. Zadławiłabym się ich słodkim gadaniem. Dziecko się poruszyło. Pogłaskała je przez futro, nie opuszczając wzroku.

- Jeszcze chwilę, moje dzielne maleństwo. Niedługo będziemy w nowym domku. Cieszysz się, co?

Chmury rozstały się za jej plecami i śnieg pokryły plamki czerwieni. Gdy oczy kobiety przywykły do światła, zobaczyła czarną postać, która przycupnęła nad ciałem jej kochanka. Bardzo teraz odległe dłonie kobiety zatrzymały śniegołaz i zgasiły silnik. Otwierała się przed nią płytka, pozbawiona drzew niecka. Śnieg obok trupa był czarny od krwi. Z komina chaty wypłynął leniwie ostatni kosmyk dymu. Bestia uniosła zbrukany posoką pysk i spojrzała na nią. Czas zamarł w uścisku mrocznej agonii.

Larl wydał z siebie przeraźliwy wrzask i rzucił się do szarży, szybszy niż myśl. Magda złapała niezgrabnie za strzelbę wspartą o bagażnik za siodłem. Przeszkadzało jej niemowlę, które miała na brzuchu. Zrzuciła rękawice o jednym palcu, przycisnęła dłoń do metalu, którego dotyk piekł niczym ukąszenie szerszenia, odbezpieczyła broń i uniosła ją do ramienia. Zwierzę pokonało już połowę dzielącego ich dystansu. Wycelowała i wystrzeliła.

Bestia padła na śnieg. Kula roztrzaskała jej bark, obalając ją na bok.

- Ty sukinsynu! - krzyknęła triumfalnie Magda.

Larl jednak przetoczył się i niemal natychmiast podźwignął na nogi.

Odwrócił się i uciekł.

Dziecko rozplakało się, podenerwowane hukiem wystrzału. Magda zapaliła silnik.

- Sza, mały wojownik. - Ogarnął ją swego rodzaju obłęd, ślepa, znieczulająca ból wściekłość. - To nie potrwa długo.

Skierowała maszynę w dół zbocza i ruszyła w pościg.

Nawet ranny larl biegł bardzo szybko. Ledwie mogła dotrzymać mu kroku. Gdy wpadł do rzadkiego zagajnika na końcu łąki, Magda zatrzymała się, by wystrzelić po raz drugi. Kula przemknęła tuż obok głowy zwierzęcia, które odskoczyło błyskawicznie. Od tej chwili zaczęło zmieniać co jakiś czas kierunek albo uskakiwać niespodziewanie w bok. Szybko się uczyło.

Nie miało jednak szans uciec przed Magdą. Zawsze była zapalczywa, a teraz krew rozpałała jej wściekłość. Nie wróci do na wpół pożartego ciała kochanka, dopóki jego zabójca żyje.

Słońce zaszło i w mroku straciła larla z oczu, widziała jednak jego ślady

w blasku dwóch księżyców: głębokie, fioletowe odciski łap oraz ciemniejsze od nich kropelki skapującej na śnieg krwi.

Nadeszło zimowe przesilenie i oba księżyce były w pełni. Święty czas.

Czułem, że ogarnia mnie dreszcz, jaki czuje zwierzyna. Na swój nieartykułowany sposób uznałem to za błogosławieństwo.

Bałem się jednak bardzo o swój rodzaj. Lekceważyliśmy dotąd ludzi, uważając ich za niezrozumiałe, mało interesujące stworzenia, które ruszały się ospale, brzydko pachniały i były nieszczególnie rozgarnięte. Teraz, gdy obłąkana kobieta ścigała mnie swą szybką maszyną, trzymając w dłoniach broń, która zabijała na odległość, uznałem to za pogwałcenie naturalnego porządku. Ona była boginią polowania, a ja jej zwierzyną.

Lud musiał się o tym dowiedzieć.

Oddaliłem się nieco od niej, ale wiedziałem, że prędzej czy później mnie dogoni. Była łowczynią, a łowcy nigdy nie porzucają ranionej zwierzyny. Dopadnie mnie w końcu w taki czy inny sposób.

Zimą wszyscy, którzy odniosą rany lub są za starzy, muszą się ofiarować ogółowi. Skala ofiar była niedaleko, na wzgórzu, w którym od niepamiętnych czasów pełno było naszych nor. Musiałem podzielić się z innymi zdobytą wiedzą: ludzie są niebezpieczni. Będą dobrą zwierzyną. Dotarłem do celu, gdy księżyce stały wysoko na niebie. Na płaskiej skale nie było śniegu.

Wskoczyłem na nią, utykając. Kilku moich współbraci wyłoniło się z nor. Obudził ich zapach mojej krwi. Położyłem się płasko na skale ofiar. Babka Ludu podeszła do mnie i polizała moją ranę, by poczuć jej smak i rozważyć sprawę. Potem odtrąciła mnie czołem. Pomyślała, że rana się zagoi, a zima dopiero się zaczyna. Moje mięso nie było jeszcze potrzebne.

Ja jednak nie ustąpiłem. Traciła mnie po raz drugi, ale nie chciałem odejść. Zaskomlała zdziwiona, gdy polizałem skalę.

Zrozumieli. Dwóch z Ludu podeszło i przygniotło mnie swoim ciężarem, a trzeci unióś łapę. Roztrzaskał mi czaszkę i zaczęli jeść.

Magda obserwowała całe zdarzenie przez lornetkę elektryczną z pobliskiego wzgórza. Widziała wszystko. Na skale roilo się od chudych czarnych potworów. Zjechanie na dół byłoby zbyt niebezpieczne, patrzyła więc na tę zdumiewającą scenę z oddali. Mogłaby przysiąc, że larl chciał umrzeć.

Bestie podchodziły do niego niespiesznie, niemal rytualnie, by skosztować mózgu, najpierw młode, a potem starsze. Uniosła strzelbę, chcąc załatwić kilka z daleka. I wtedy wydarzyło się coś zaskakującego: wszystkie larle, które już jadły mózg, rozpierzchły się na boki, a te, które jeszcze tego nie zrobiły, stały wystawione na cel, nie rozumiejąc, co im grozi. Gdy następny połknął kawałek mózgu i podniósł wzrok z wyrazem nagłej świadomości, poczuła ukłucie strachu.

Łowca często opowiadał o larlach. Mówił, że są tak nieuchwytnie, że niekiedy wydają mu się inteligentne.

"Na wiosnę, kiedy będę mógł sobie pozwolić na marnowanie amunicji na drapiezniki, z chęcią załatwię kilka tych piękniśków", oznajmił. Był ksenobiologiem kolonii i kochał zwierzęta, które zabijał, nawet wtedy, gdy wędził ich mięso, garbował skóry i rysował szczegółowe szkice narządów wewnętrznych. Magda zawsze śmiała się z jego teorii, mówiącej, że larle poznają zwyczaje swych ofiar przez pożeranie ich mózgów, mimo że spędził wiele czasu na obserwacji tych zwierząt z oddali i zebrał wiele dowodów. Teraz zadała sobie pytanie, czy nie mógł mieć racji.

Dziecko zaczęło płakać. Wsunęła dłoń pod futro, by przystawić je do piersi. Nagle noc wydała się jej zimna i groźna. Co ja tu robię? -

pomyślała. Natychmiast odzyskała rozsądek. Gniew zniknął niczym lodowa wieża roztrzaskana przez wiatr. Po śniegu mknęły ku niej czarne, smukłe kształty. Co kilka susów zmieniały kierunek, by uniknąć strzałów.

- Trzymaj się, malutki - mruknęła. Zawróciła śniegołaz i nacisnęła gaz.

Gdy tylko mogła, trzymała się otwartej przestrzeni. Ścigające ją zwierzęta nie zbliżały się zbyt. Dwukrotnie zatrzymała się i wymierzyła w nie strzelbę. Wtedy natychmiast zniknęły, osłonięte chmurami śniegu. Czołgały się na brzuchach, ale nie zatrzymywały się ani na chwilę. W upiornej nocnej ciszy słyszała skomlenie bestii przekopujących się przez zaspy. Po nieokreślonym czasie - niebo na wschodzie jeszcze nie pojaśniało - podczas skoku przez zamrożony strumień lewa narta śniegołaza uderzyła o głaz. Maszyna podskoczyła w górę. Rozległ się głośny sygnał alarmowy. To cybernetyczne układy usiłowały przywrócić jej równowagę. Śniegołaz przewrócił się z przyprawiającym o mdłości trzaskiem. Jedna płoza wygięła się paskudnie. Pojazd wymagałby poważnej naprawy, by znowu ruszyć z miejsca.

Magda zsiadła ze śniegołaza. Rozchyliła futro i pochyliła się nad synkiem, który uśmiechnął się i zagaworzył do niej.

Coś w niej nagle zgasło.

Zachowałam się jak idiotka. Skandaliczna idiotka, pomyślała. Była dumną kobietą, która nie zwykła żałować swych uczynków, nawet w myślach. Teraz jednak żałowała wszystkiego: gniewu, łowcy, całego swego życia, wszystkiego, co zaprowadziło ją tutaj, obłędu, który mógł doprowadzić do śmierci jej dziecka.

Na wzgórzu pojawił się larl.

Magda uniosła strzelbę i zwierzę zniknęło. Ruszyła w dół, równoległe do strumienia. Śnieg sięgał jej kolan i musiała stąpać ostrożnie, żeby się nie potknąć i nie przewrócić. Przed nią toczyły się w dół małe, śnieżne kulki. Brnęła naprzód, tworząc prosty ślad.

Chatka myśliwska była odległa o niewiele mil. Jeśli zdoła do niej dotrzeć, oboje będą żyli. Mila to jednak zimną długi odcinek. Magda słyszała już nawołujące się larle, ciche pokasywania po obu stronach jaru. Podążały za dźwiękiem jej kroków. Proszę bardzo. Miała jeszcze strzelbę, a jeśli nawet zostało jej niewiele kul, larle o tym nie wiedziały. Były tylko zwierzętami.

Tak wysoko w górach drzew rosnęło niewiele. Magda schodziła w dół przez dobre ćwierć mili, nim wreszcie wąwóz zarosły gęste krzewy i musiała wdrapać się na górę albo ryzykować, że wpadnie w zasadzkę. W którą stronę? - zadała sobie pytanie. Usłyszała z prawej trzy kaszlnięcia, wspięła się więc na lewy stok, cały czas wyężając uwagę.

Zapędzaliśmy ją w wybraną stronę. Przez całą, długą noc pokazywaliśmy się jej przelotnie, gdy tylko próbowała skrócić tam, gdzie nie mogliśmy jej pozwolić pójść. Pozwalaliśmy, żeby zobaczyła, jak zakopujemy się w oddali w śniegu, a potem czekaliśmy, bez ruchu, niepostrzeżenie. Wypełniliśmy las swymi cieniami. Powoli, bardzo powoli, zmusiliśmy ją do zawrócenia. Chciała dotrzeć do chaty, ale nie była w stanie tego dokonać. Jakże gęsta była mgła strachu i rozpacz, która ją spowiła! Mówiła to nam jej woń. Czasami jej dziecko płakało. Głosem, który stał się zupełnie bezbarwny z bezsilności, uspokajała wtedy pachnące mlekiem stworzenie. Księżycy skłaniały się ku zachodowi i noc stawała się coraz ciemniejsza. Zmusiliśmy kobietę do powrotu w górę. Pod koniec nogi załamywały się pod nią kilka razy. Nie dysponowała naszą siłą i wytrzymałością, ale cierpliwością i

sprytem dorównywała nam w pełni. W pewnej chwili zbliżyliśmy się do jej nieruchomej postaci i zabiła dwóch z nas, nim reszta zdążyła uciec. Jakże ją kochaliśmy! Podążaliśmy za nią spokojnie, pewni, że prędzej czy później padnie.

Gdy nastąpiła najciemniejsza godzina nocy, zagnaliśmy wreszcie zwierzynę na zryte norami wzgórze, święte miejsce Ludu, gdzie wznosiła się skała ofiar.

Kobieta znalazła się tu po raz drugi tej samej nocy i natychmiast to zauważyła. Przez chwilę stała bezradnie, a potem zalała się łzami.

Czekaliśmy, gdyż to właśnie jest najświętsza chwila polowania, gdy ofiara pojmuję i akceptuje swe przeznaczenie. Po chwili kobieta przestała płakać.

Uniosła głowę i wyprostowała się. Powoli, spokojnie, zeszła na dół.

Wiedziała, co musi zrobić.

Larle schowały się w norach na jej widok. Ich lśniące oczy zniknęły w mroku. Magda ignorowała je. Obolała, odrętwiała i śmiertelnie znużona, podeszła do skały ofiar. Musiało tak się stać.

Wyjęła dziecko spod futra i opatuliła je nim mocno. Potem położyła tobolek obok skały. Rozchyliła go jeszcze drżącymi dłońmi, by pocałować słodką główkę. Niemowlę wydało z siebie gniewny dźwięk.

- Brawo, malutki - powiedziała. - Tak trzymać.

Była bardzo zmęczona.

Zdjęła swetry, kamizelkę i bluzę. Mróz szczypał jej ciało lodowymi zębami.

Przeciągnęła się lekko, czując ból przy każdym poruszeniu. Boże, cóż to była za ulga. Odłożyła strzelbę. Uklękła. Skała była czarna od zakrzepłej krwi. Położyła się płasko, tak jak wcześniej zrobił to larl. Głaz był zimny, tak zimny, że niemal zagłuszył ból. Prześladowcy czekali w pobliżu, obserwując ją z zainteresowaniem. Słyszała ich ciche oddechy. Jeden z nich podszedł do niej bezszelestnie. Czowała jego zapach. Bestia zaskomlała pytająco.

Kobieta polizała skałę.

Gdy zrozumiano, czego pragnie, ofiara odbyła się sprawnie. Uniosłem łapę i roztrzaskałem jej czaszkę. Ponownie byłem najmłodszy. Nadal niewinny, pochylilem się, by skosztować mózgu.

Zbierali się sąsiedzi, którzy łomotali do drzwi i wdrapywali się sobie na plecy, by zajrzeć przez okno. Ściany uginały się do wewnątrz i buchały parą od ich naporu. Stękałam i krzyczałam, a brzęk sztućców i talerzy w sąsiednim pokoju wciąż przybierał na sile. Jak podobni zwierzętom chłopci, rodzina męża próbowała zagłuszyć dźwięki mojego bólu toastami i pijackimi dowcipami.

Za oknem dostrzegłam czoło Głupiego Tevina - białą jak kość skórę, ciasno opiętą na czaszce - a poniżej skrawek przypominającej maskę twarzy - ostry nos, blade policzki. Drzwi i ściany aż pulsowały od ciężaru tych, którzy zgromadzili się na zewnątrz. W sąsiednim pokoju dzieci biły się ze sobą, a starcy głaskali długie brody, spoglądając niespokojnie na zamknięte drzwi. Położna potrząsnęła głową. Od kącików jej ust, po obu stronach wydatnego podbródka, biegły dwie czerwone bruzdy. Jej oczodoły wyglądały jak mroczne kałuże pyłu.

- A teraz przyjdź! - krzyczała. - Nie bądź leniwą maciorą!

Jęknęłam, wyginając plecy w łuk. Odrzuciłam głowę do tyłu i nagle stała się mniejsza, pochłonięty ją poduszki. Łóżko się przekrzywiło. Jedna z jego nóg załamała się powoli. Mąż zerknął na mnie ze złością przez ramię.

Dłonie zaciskał w pięści za plecami.

Wszyscy mieszkańcy Łądowania napierali na ściany, krzycząc głośno.

- Wychodzi! - krzyknęła położna. Sięgnęła do mojego zakrwawionego krocza i wydobyla główkę, gniewnie fioletową jak u goblina. Ściany rozjarzyły się nagle czerwono-zielonym blaskiem. Wyrosły na nich wielkie kwiaty. Drzwi zrobiły się pomarańczowe i otworzyły się gwałtownie. Do środka napłynęli sąsiedzi i załoga. Sufit się wybrzuszył i z krokwi pospadali linoskoczkowie. Chłopak, który schował się pod łóżkiem, uleciał ze śmiechem ku pradawnemu niebu i gwiazdom, których światło przenikało przez sufit.

Unieśli na półmisku okrwawione dziecko.

Larl dotknął mnie po raz pierwszy. Położył mi na kolanie masywną, czarną łapę. Jego dotyk był miękki jak aksamit. Pazury miał schowane.

- Nadażasz za mną? - zapytał. - Potrafisz oddzielić prawdę od fantazji, określić, co jest faktem, a co szaloną wizją, zrodzoną z emocji, których nie podzielaliśmy? Ja też nie potrafię. Wszystkiego, czyli narodzin pierwszego ludzkiego młodego na planecie, doświadczyłem w mgnieniu oka. Oślepiiony bojaźnią, zrozumiałem osobistą tragedię i triumf wspólnoty wiążące się z tym wydarzeniem, a także los jego bohaterów i kulturę, która się za tym kryła. Jeszcze przed sekundą żyłem jak zwierzę, pełen prostych, zwierzęcych myśli i nadziei. Potem skosztowałem mózgu kobiety i w mgnieniu oka osiągnąłem stan bliski boskości. To właśnie było jej zamiarem. W chwili śmierci myślała o narodzinach dziecka, byśmy mogli ich doświadczyć. Dała nam to. A także więcej. Dała nam język. Przed pożarciem jej mózgu byliśmy inteligentnymi zwierzętami, a teraz staliśmy się Ludem. Zawdzięczaliśmy jej bardzo wiele i wiedzieliśmy, czego od nas pragnęła. Larl pogłaskał mój policzek wielką gładką łapą. Białe jak kość słoniowa pazury były schowane, lecz drżały lekko, jakby za chwilę miały się obudzić.

Ledwie ważyłem się oddychać.

- Rankiem następnego dnia przybyłem do Lądowania, trzymając w pysku nosidełko z dzieckiem. Niemowlę przespało większą część drogi. O świcie przemknąłem pustą ulicą tak bezszelestnie, jak tylko potrafiłem. Skierowałem się do domu pierwszego kapitana. Usłyszałem dobiegający ze środka szmer głosów. Cała wioska zebrała się na nabożeństwo. Zapukałem łapą w drzwi. Zapadła nagła, pełna zdumienia cisza. Potem otworzyli mi, powoli i bojaźliwie.

Larl umilkł na chwilę.

- Tak wyglądał początek naszego związku z ludźmi. Przyjęli nas do swych domów i od tej pory pomagaliśmy im w polowaniu. To była uczciwa transakcja. Mięso, które dzięki nam zdobyli, tej pierwszej zimy uratowało wielu z nich przed śmiercią. Nikt nie musiał się dowiedzieć, w jaki sposób zginęła kobieta ani jak dobrze rozumiemy wasz rodzaj. To dziecko było twoim przodkiem, Flip. Co kilka pokoleń zabieramy kogoś z twoich krewnych na polowanie i zjadamy jego mózg, żeby zachować bliskość z waszym rodem. Jeśli będziesz grzecznym chłopcem i wyrośniesz na odważnego i uczciwego mężczyznę, inteligentnego i szlachetnego jak twój ojciec, niewykluczone, że to twój mózg wybierzemy.

Larl skierował tępo zakończony pysk w moją stronę. Być może jego wyraz miał być sympatycznym uśmiechem, a być może nie. To wspomnienie po dziś dzień pozostaje dla mnie niejednoznaczne. Potem wstał i zniknął w mrocznych, przyjaznych cieniach Kamiennego Domu. Siedziałem tam jeszcze kilka minut, wpatrując się w żar. Później moja druga siostra - jej twarz była pozbawiona rysów płamą, jak oblicze anioła - weszła do pokoju i

natychmiast mnie zauważyła.

- Chodź, Flip - powiedziała wyciągając rękę - bo wszystko cię ominie.
Poszedłem za nią.

Czy cokolwiek z tego wydarzyło się naprawdę? Czasami sam się zastanawiam. Ale robi się już późno, a twoich rodziców nie ma. W moim pokoju jest ciasno, ale przytulnie, łóżko jest ciepłe, lecz puste. Możemy zagrzebać się pod kocami, żeby odstraszyć jaskiniowe niedźwiedzie najstarszymi z zimowych zabaw. Zarumieniłaś się! Nie cofaj dłoni. Niedługo odleczę do jakiegoś odległego świata, żeby wziąć udział w wojnie na rzecz ludzi, o których wiem równie mało co ty. No wiesz, żołnierze starzeją się powoli. Transportują nas między gwiazdami w stanie hibernacji. Kiedy będziesz już stara, gruba i zadowolona z otaczających cię wnuków, ja wciąż będę młody i wciąż będę myślał o tobie. Wtedy sobie o mnie przypomnisz i nasze myśli zetkną się poprzez pustkę. Czy nie będziesz miała czego żałować? Czy tego właśnie chcesz? Kiedyś mi się wydawało, że można uciec przed ciemnością. Sądziłem - z pewnością tak sądziłem - że jeśli wstąpię do milicji, zdołam umknąć swemu losowi. Dlatego wyrzekłem się domu i rodziny, a na koniec i tak bestia pożarła mój mózg. A teraz jestem sam. Za miesiąc na całym tym świecie tylko ty będziesz pamiętała moje imię. Pozwól, bym żył w twoich wspomnieniach.

Chodź, nie bądź nieśmiała. Zapomnijmy o przeszłości i żyjmy swoim życiem. Tak jest lepiej. Zdmuchnij świeczkę, kochanie. To już koniec mojej opowieści.

Wszystko to wydarzyło się dawno temu na planecie, której nazwę gorączka wypaliła z mojej pamięci.

Przełożył Michał Jakuszewski

MICHAEL JOSEPHUS (JURGEN?) SWANWICK

Urodził się 18 grudnia 1950 r. Amerykański pisarz SF, autor sześciu powieści i czterech zbiorów opowiadań, laureat Theodore Sturgeon Memorial Award (1990) i Nebuli za powieść "Stacje przyływów" (1991) oraz tegorocznej nagrody Hugo za opowiadanie "The Dog Said Bow-Wow" (2001; wkrótce na naszych łamach). Debiutował opowiadaniem "The Feast of St Janis" (1980) i wkrótce dołączył do grona najciekawszych pisarzy SF, balansując pomiędzy cyberpunkowym i humanistycznym traktowaniem swoich bohaterów. "Córka żelaznego smoka" (1993) to udana próba odejścia od sztampy fantasy. Nowsze powieści: "Jack Faust" (1997) i "The Bones of Earth" (2002). W "NF" zamieściliśmy dotychczas dwa utwory Swanwicka: "Jest tu ktoś z Utah?" (10/91) i "Jajo Gryfa" (3-4/98).

"Zimowa opowieść" ukazała się po raz pierwszy w "Isaac Asimov's Science Fiction Magazine" w grudniu 1988 r., by wejść następnie do autorskiego zbioru "Gravity's Angels" (1991).

MSN